№ 12. Warszawa, dnia (7) 19 Marca 1898 roku. Rok XL.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:
W Warszawie
Kwartalnie . . . : . . . . . rs. 1.
Za odnoszenie do domu kwartalnie kop. 10.
Z przesyłką pocztową
Kwartalnie . . . . . rs. 1 kop. 25.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Warszawa, Chmielna № 26.
TELEFONU 106.

PRENUMERATA WYNOSI:
We Lwowie i Krakowie
Kwartalnie złr. 2. Na prowincyi złr. 2 cent. 30.
W Poznaniu
Kwartalnie marek 3. Na prowincyi mar. 3 pf. 50.
Cena ogłoszeń: Wiersz petitu 1 szpalt. lub jego miejsce kop. 12. Nadesłane wiersz 1 szpaltowy garmontu kop. 50.

MARYA RODZIEWICZÓWNA.

KĄDZIEL.

POWIEŚĆ.

(Dalszy ciąg).

— Pani jest dobrego zdrowia? Roboty będzie dużo.

— O pani! Nie wiem co bezczynność. Gdy odpoczywam, to się modlę. Chorować nie miałam czasu.

— Uprzedzam panią, że jestem sama w domu, wdowa, i nikt prawie u mnie nie bywa. Wesołości i towarzystwa niech się pani nie spodziewa!

— Bogu dzięki! Bogu dzięki! Marzyłam o tem i wyznam pani, że jako biedna sierota, jestem nieufna i nieśmiała. Boję się towarzystwa mężczyzn szczególnie. Oni są tacy bezwzględni i *sensualni*. Nie umieją uszanować domu!

Pani Taida popatrzała na nią, ale miała taką minę rzetelnie wystraszoną, że tylko się uśmiechnęła.

— No, o to może pani być zupełnie spokojna. U mnie w domu zgorszenia niema i nie będzie. Co do obowiązków, będzie się pani zajmowała śpiżarnią, ogrodem i nabiałem. Służba domowa będzie pod pani rozkazami i księgi mleczywa, i domowych wydatków będzie pani trzymać.

— Postaram się sumiennie spełnić obowiązki, za Bożą pomocą. Czy będę mogła co dzień być na Mszy św.

— Codzień? Do kościoła jest pięć mil drogi!

— O Boże! I pani bywa tylko w Niedzielę?

— Ja bywam cztery razy na rok.

— Jakże to być może! Więc można tak żyć bez Boga!

— Jakto bez Boga! Pani nie umie katechizmu! W niebie, na ziemi, i na każdem miejscu jest On!

— Zapewne, ale to okropne! Bez sakramentów, bez nauki, bez świętej ofiary — być codzień narażonym na pokusy szatańskie, i nie módz się przed niemi schować w świątyni! Czyż możliwem jest ustrzedz duszę w takich warunkach? To strasznie niebezpieczne. Tego nie można uczynić bez porady spowiednika i roztrząśnienia sumienia. Ciało mdłe, proszę pani!

— Tfu! — wybuchnęła pani Taida. — Co też pani bredzi. W tem strasznem miejscu żyją ludzie i umierają w świętobliwości. W tem miejscu ja żywot zbyłam, i potępienia się nie lękam. Pokusy! Co za pokusy mieć tam można tak szczególnie straszne. Na to niema czasu przy robocie. Pacierz się mówi rano i wieczór, nikogo się nie krzywdzi i nie szkaluje, chorego i biednego się opatrzy, prawdę się mówi, obowiązek spełnia i Boga się ma wszędzie, byle się go w sobie czuło. Pani myśli, że gdy siedzę o pięć mil od kościoła, to Bóg o mnie już nie wie? A ja jestem pewna że wie! Zresztą pani znane jest zdanie św. Augustyna: „Każda cela może być Tebaidą, a każdy dom kościołem.” To zależy od tego, kto mieszka.

Kandydatka westchnęła bardzo głęboko.

— Zawiniłam! Pani mi wskazała drogę. Bóg żąda odemnie próby i ofiary. Niech się spełni Jego wola!

I spojrzała w okno, na przeciwległą kamienicę, bo nieba widać nie było.

— Pani jest bardzo egzaltowana! — mruknęła pani Taida.

— Pragnę cnoty i zbawienia. Boję się świata i szatana, ale sobie nie ufam. Czyż to złe?

— No, nie! Ale nie trzeba w niczem przesadzać. Wracając do rzeczy! Jakież pani stawia warunki?

— Chciałabym mieć osobny pokoik, i skromne wynagrodzenie! Bardzo mało potrzebuję.

Pani Taida już dużo niechętniej powiedziała summę.

— Zgadzam się, tylko będę prosić o namysł do jutra. Wieczorem przyszlę kartkę z decyzyą.

— I owszem, o to samo chciałam prosić dla siebie. I ja potrzebuję się namyśleć.

Na tem się skończyło. Pani Taida wróciła do jadalni patrząc w zamyśleniu na bilet z nazwiskiem „Klara Wolska. Nowy Świat nr. 45.”

— No i cóż? — spytała Ozierska.

— Albo ja wiem. Dziwoląg po dziwolągu, że nareszcie traci się zupełnie zdrowy sąd. Ta znowu dewotka, ale ze wsi rodem, pracować chce, na wszystko się zgadza, nic nie wymaga! Albo ja wiem! Jestem zupełnie zniechęcona.

— Niech mama drzwi zamknie na dzisiaj, i chodźmy na miasto. Jest wystawa Chełmońskiego, może mama potrzebuje co kupić, ja służę za przewodnika — ofiarował się Włodzio, nie śmiejąc drwić, chociaż mu twarz drżała od śmiechu.

— A jakże! mam cały arkusz sprawunków! — westchnęła pani Taida. Pokażesz mi też swe mieszkanie!

Nazajutrz rozpoczął się znowu korowód, tylko Ozierska zasiadła też w salonie, by pomódz, bo pani Taida była zupełnie odurzona. Stawiło się siedem kandydatek. Z tych trzy zaraz się cofnęły, dowiedziawszy się, że to posada w domu bez gospodarza.

— Zrozumiałam, że mam wyręczać panią domu u wdowca! — rzekła jedna tonem obrazy, że ją turbują do pomocy kobiecie.

Dwie obraziło się, że nie będą miały osobnej służącej, i że mają dozorować udoju — w oborze, w nawozie.

— Nie pochodzę z familii szafarek!

Jedna była srodze dotknięta, że za taką massę roboty ma otrzymać tylko dwieście rubli.

— Pani żartuje chyba. Moja matka płaciła drożej garderobianej!

Ostatnia wreszcie zgadzała się na wszystko, ale nie miała pojęcia na co się zgadza, bo przez całe życie nie wyjeżdżała z Warszawy, tylko do Wilanowa, a zajmowała się dotychczas lekcyami muzyki.

Już po trzeciej zjawiła się jeszcze jedna. Była to gruba kobiecina, w czepku na bakier, z wypiekami na twarzy.

— Tu szukają gospodyni na wieś! Ja pojadę! Co tam, raz kozie śmierć! Przemówiłam się ze starym, on mnie spostponował, więc mu powiadam: czekaj, psia nogo, ja ci pokażę! Pojadę na wieś, między ludożerce, między bałwochwalce — na takie wygnanie, na takie zatracenie, a z tobą nie zostanę!

Aby jej się pozbyć, musiała pani Taida wezwać pomocy Włodzia, i posłała go pędem do „Kuryera.“

— Cofnij ogłoszenie, cofnij! Mam tego dosyć!

Była już zdecydowana z niczem powrócić, ale żal jej było kosztu, i strach samotności w domu.

— Wezmę chyba tę Wolską! — rzekła.

— Niech mama poczeka, aż się załatwi ze spowiednikiem i z sumieniem! — odparł Włodzio.

— Bardzo cię proszę z tego nie żartować, i mam nadzieję, że i ty te dwie władze szanujesz.

Włodzio zerknął ku Stasi, ale jej twarz była niewzruszona.

Wieczorem posłaniec przyniósł odpowiedź panny Klary Wolskiej.

„Twarz pani wyraża siłę i prawdę—oddaję się ufnie pod opiekę pani — przyjmuję obowiązek. Proszę o wyrozumiałość dla mych słabości i wzgląd dla moich potrzeb duchowych, które są mojem jedynem szczęściem i przyszłością sierocą.”

Pani Taida nagle zdecydowana złożyła list.

— Niech będzie ta, bo niema z czego wybierać! A czas mi wracać do roboty!

III.

Pierwszem zajęciem panny Klary Wolskiej, po przybyciu do Rudy było urządzenie pokoju jej przeznaczonego wedle swych potrzeb i wymagań.

Gdy ukończyła tę pracę, zaprosiła na ocenę panią Taidę.

— Niech pani raczy rzucić okiem na moją celkę! — prosiła idąc za nią i spodziewając się na pewno pochwały.

Ale pani Taida stanęła na progu, popatrzała i rzekła:

— Jeśli to ma być cela, to cela bałwochwalcy.

Największa ściana była od góry do dołu zawieszona obrazkami świętymi, podzielonymi jeden od drugiego festonami z różańców i zakończona ołtarzykiem, na którym paliło się kilka lampek i leżały stosy książek do nabożeństwa.

— Jakto, bałwochwalcy? — jęknęła panna Klara.

— A nacóż chrześcijaninowi ten milion obrazków i ten stos książek? Wystarczy prosty krzyż, albo obraz Bogarodzicy i jedna książka. No, a jeśli pani tu chce żyć jak w celi, to pocóż pani naprzeciwko ma tyle pierzyn i poduszek na łóżku. To niema konsekwencyi.

— Przy tym ołtarzyku trzeba zbierać dwór cały do wspólnej modlitwy.

— Ciekawam kogo! Oprócz nas dwóch wszyscy są innego wyznania.

— Mój Boże! Tembardziej należy ich oświecić i nawracać! To obowiązek.

Tu się oburzyła pani Taida.

— Czy pani dotąd żyła na księżycu, żeby podobne mrzonki prawić. A zresztą, pani daruje, ale naszym wspólnym obowiązkiem jest tylko siebie zbawić i drugich nie gorszyć. Do oświecania i nawracania są misyonarze i księża, a nam wystarczy być wyznawcami. Powtóre, pani tu przybyła pracować, a nie katechizować i modlić się. Jeśli żaś pani żądna nabożeństwa, znajdzie je pani w innej formie, lecząc i doglądając chorych, których tu nie brak. W takiej modlitwie stanę pani zawsze do współudziału.

(Dalszy ciąg nastąpi).



O ubiorach.

15 Marca 1898 roku.

Spóźniliśmy się trochę ze sprawozdaniem o pierwszych nowościach wiosennych, a to z powodu że i wystawy w wielkich magazynach opóźniły się z niemi w tym roku. Parę dni temu dopiero otworzono je w *Luwrze*, w *Printemps* i *Bon Marché*. Obejrzeliśmy te wystawy, zwane tu przedwcześnie letniemi; czerwiec przyniesie nam jeszcze coś nowego. Mnóstwo za to widzimy dziś lżejszych tkanin, gotowych kostyumów, na przechadzki i wizyty wiosenne.

Zacznijmy od kolorów—rozmaitość w nich wielka. Do najmodniejszych należy szafirowy, to jest bławatkowy (bluet), lilla anemonowy, zielony w odcieniu myrtowym, śliwkowy i chrabąszczykowy. Wszystkie te kolory nieco przyćmione, niepewne. Szary w różnych odmianach ogólnie tu przyjęty.

Co do kroju sukien, to tylko zaznaczymy, że spódnice w sztywne odstające rury (*à godets*) przeszły już swoją porę; fałdy zawsze rzęsiste spadają lekko na tylnych brytach; przód zwykle bardzo płaski. Strojniejsze suknie mają u dołu szeroki wolant, inne całkiem gładkie z niedługim trenem; te przyjęte głównie do powozu. Ukazują się coraz częściej tuniki, otwarte z lewego boku, dosyć płaskie na fałdzistej spódnicy.

Już w roku zeszłym mówiliśmy o wełnianych sukniach, naszywanych czarną lub ciemną pletnią. Ta moda, nietylko że nie ustała, lecz się stała dziś powszechną i dała powód do różnych fantastycznych pomysłów. Główna w tem odmiana, że owe pletnie, wypuklejsze od dawnych, wyglądają jak warkoczyki, ztąd też nazwano je *tresses*. Dają je to w gzygzaki, to w zęby okrągłe lub faliste, albo w ukośną kratę, u dołu spódnicy i po bokach, jak również na staniku i na rękawach. Oprócz pletni naszywają także ruloniki wyrabiane w maszynie z alpagi. Do sukien z kaszmiru lub sukienka przyjęte również naszycie z rurek atłasowych albo z tasiemek wąskich plisek, wreszcie z wąskiej na cal wstążeczki, przymarszczonej z obu stron w maszynie. Świeżo to i ładnie i wygląda.

Na kostyumy wiosenne, przygotowane bardzo lekkie sukienko, zwane *drap mousseline* Modny też kaszmir w różnych ciemnych kolorach, równie jak półjedwabna szkocka popelina. Do większego ubrania, widzimy grenadinę w drobne jedwabne prążki i gęstą gazę czarną, przerabianą w jedwabny deseń.

Bluzki, mimo ich upowszechnienia, tak przypadły do gustu Paryżankom, że nie mogą z niemi się rozstać; magazyny niemi zapełnione, różnią się tylko od dawnych rozmaitością w ozdobach.

Dla szczupłych osób upowszechniły się tak zwane *Jaquettes-blouses*, z krótką baskiną, przymarszczone i obciśnięte paskiem skórzanym.

Peleryny dotąd całkiem nie ustąpiły, mimo że dzienniki mód zapowiadają ich upadek. Wiele jeszcze widzimy ich na wystawach, z tą różnicą, że rozmiarem znacznie mniejsze, ledwo że sięgają do stanu. Nowość jednak stanowią mantyle, dość wązkie na ramionach, z końcami spadającemi na przód spódnicy. Do wyjścia na ulicę, widzimy mnóstwo żakiecików rozmaitej długości. Wszystkie naszywane pletnią, rulonikami i sutaszem.

Po tych ogólnikowych uwagach prrzystąpmy do szczegółowego opisu, tak sukien jak okrywek.

Oto parę wełnianych kostyumów z magazynu *Printemps*. Pierwszy z kaszmiru szafirowego w odcieniu bławatkowym. U dołu spódnicy naszyta siedem razy czarna jedwabna pletnia. Stanik otwarty, w formie bluzki przymarszczony, cały naszyty w podłuż pletnią w blizkich odstępach. Wypuszczona baskina, składa się z kwadracików, naszytych z brzegu trzema rzędami pletni; pasek do tego odpowiedni. Na wykroju stanika, idą wyłogi z jedwabnej materyi nieco jaśniejszej, z podniesionym w górę kołnierzem. Na tych wyłogach, naszyta w drabinkę pletnia. Rękawy lekko nabufowane u ramienia—wązkie od łokcia do ręki. Tu naszyta w górę drabinka tworzy mankiet na ćwierć łokcia wysoki. Z pod otworu stanika widać plastron z jedwabnej materyi surah w odcieniu śmietankowym, ułożony w zakładki. U szyi fryzka koronkowa spięta na kokardę surah.

Drugi kostyum popelinowy, w kolorze anemonowym. U dołu spódnicy naszyta trzy razy, czarna atłasowa wstążeczka, namarszczona po obu stronach. Stanik w rodzaju

bluzki, w górze ujęty w karczek, powleczony gipiurą śmietankową, od tego karczka wybiegają epolety i kołnierz stojący; wszystko to objęte namarszczoną wstążeczką. Przez ramiona przechodzi szersza wstążka atłasowa oddzielająca karczek od epoletów, przytwierdzona z obu stron wielkimi guzikami z metalu, pasek czarny atłasowy, zapięty na kokardę. Poniżej paska spódnica cztery razy przemarszczona w odstępach.

W magazynie Luwru zwróciły też uwagę naszą dwa ładne kostyumy. Pierwszy z zielonego sukienka (*drap-mousseline*) w odcieniu myrtowym. Spódnica gładka, nad obrębem szlak haftowany *à jour*, na białem podwleczeniu. Do tego żakietka z baskiną, cała zahaftowana klarowno, podbita białym atłasem. Z przodu małe wyłogi gładkie, ścięte w ząb, ogarnirowane ruszą z białego jedwabnego muszlinu, w pośrodku wypuszczony takiż żabocik. U szyi zahaftowana opaska, od niej wybiega w górę kołnierz *medicis*, z muszlinu, rzęsisto namarszczony. Rękawy wązkie, epolety zahaftowane, u ręki odpowiedni mankiecik. Pasek biały skórzany, spięty na klamrę z konchy perłowej.

Drugi kostyum wizytowy: spódnica czarna jedwabna *poult de soie*. Stanik atłasowy w formie żakietki; przody lekko zahaftowane jedwabiem i dżetem. Wyłogi z białego atłasu, pokryte odpowiednim haftem czarnym, ogarnirowane ruszką z czarnego muszlinu jedwabnego. Z pod wązkiego wykroju plastron biały muszlinowy, rzęsisto namarszczony. Kołnierz medicis z czarnego muszlinu. Rękawy wązkie, od łokcia do ręki zahaftowane, a zakończone ruszą muszlinową.

Dodajmy tu parę ładnych szlafroczków z Luwru.

Pierwszy z muszlinu wełnianego, na tle szafirowem w białe paski, obciśnięty w stanie szafirową wstążką, zapiętą z boku na kokardę. W górze stanika idzie karczek powleczony białym półbatystem, zahaftowanym klarowno. Od karczku spada takiż wolant, oddzielony dwoma rzędami wstążeczki szafirowej. U szyi opaska naszyta wstążeczką, od boków jej wybiega w górę zahaftowana fryzka. Rękawy bardzo wązkie, u ramienia tylko mała bufka wystaje jak epolet, u ręki biały haftowany mankiecik.

Drugi szlafroczek z kaszmiru w różnokolorową szkocką kratę, w stanie objęty szarfą czarną z końcami. W górze karczek z grubej gipiury szarej, na czarnem podwleczeniu. Wkoło karczka dwa czarne jedwabne wolanciki, rozszerzone nieco na ramionach. U szyi opaska gipiurowa na czarnej wstążce z wypuszczoną w górę fryzką, sięgającą tylko od jednego boku do drugiego.

Zobaczmy nakoniec piękne mantyle z Luwru. Pierwsza z materyi czarnej z gęstego tiulu zwanego *tiul craquelé*. Karczek jedwabny, pokryty haftem i dżetowemi palietkami, ztąd na ramiona wypuszczone epolety, objęte ruszą tiulową, przeszyte dwa razy atłasową wstążeczką z obu stron namarszczoną. Od karczka spada szeroki wolancik tiulowy, przedłużony z przodu w chusteczkę, cały naszyty w odstępach wstążeczką. Wkoło mantyli rusza tiulowa, u szyi opaska zahaftowana, od niej wybiega tiulowy kołnierz medicis.

Druga mantyla podobna, tem się tylko różni, że karczek podbity białą materyą *gros-grain*.

Trzecia mantyla większa od poprzednich, czarna tiulowa, cała zahaftowana jedwabiem, na plecach sięga do stanu, z przodu końce zaokrąglone, spadają na połowę spódnicy. Wkoło wolant na ćwierć łokcia szeroki. Wzdłuż przodu idzie odwrócony żabot, przez całą długość mantyli.

Bardzo się tu upowszechniły długie krawaty z jedwabnego muszlinu, szerokie na trzy ćwierci łokcia, długie poniżej kolan; wiążą je u szyi na wielką kokardę. Muszlin ten nakrepowany w maszynie, bardzo lekko, puszysto wygląda.

Seweryna Duchińska.

TEATR

Almanzor — tragedya w 5-ciu aktach przez Kaz. Glińskiego.

(Dokończenie).

W akcie drugim i trzecim zamknięto ważne dla Burgosu wypadki: przybycie i pobyt w stolicy Kastylii króla Maurów. Te dwa akty stanowią najbardziej zajmującą część dzieła. Opowiedzmy pokrótce ich osnowę.

Hrabina Awa, rozmiłowana do niepamięci w Almanzorze, z biciem serca i ze drżeniem oczekuje chwili, gdy w mieście całem zabrzmią dzwony, i podniosą się okrzyki ludu, zwiastujące przybycie ukochanego.

Z rozmowy jej z powiernicą Inez, dowiadujemy się, że nieboszczyka męża swego nie kochała nigdy, i że dla syna, pochodzącego z tego związku, również żadnego tkliwszego uczucia mieć nie może. Młody Sancho był jej zawsze obojętnym, teraz powstaje w niej względem niego jakiś rodzaj niechęci. Wspomnienie tego syna płoszy jej marzenia miłosne. Almanzor bowiem wzamian za rękę swą żąda w wianie tronu Kastylii, a tron ten dziedzictwem jest jej syna. Ale silniejszy nad wszystko głos namiętności tłumi w jej duszy wszelkie skrupuły, wszelkie wyrzuty sumienia. Awa wmawia w siebie nawet, że przez miłość dla niej Almanzor przed Bogiem jej pochyli czoło...

Uderzyły już dzwony, śpiew ich potężny wichrem burzy leci do progów Awy. To on, to król, kochanek jej. Jej serce najradośniej wita gościa.

Tłum krzyczy „niech żyje!" bo krzyczeć mu kazano. Panowie Kastylii i drobni władcy Iberyjskiego półwyspu, choć w gruncie rzeczy nienawidzą Maurów, uprzejmie witają tym razem potężnego wroga, bo po długich i nieszczęśliwych walkach uśmiecha im się przyszłość spokojna, bo radziby użyć oręża w osobistych sprawach. A Sancho? Chłopię dojrzewa szybko śród tych wypadków; młodzieńcza dusza jego uczuwa wstręt do korzenia się przed wrogiem, ale przeciw woli matki nie radby wystąpić i na pytanie Kryspina „czemu opuścił komnatę gdzie króle, przez swego gościa oćwiczeni wczora, dziś kropicielską dłoń ściskają czule" i ugania się tymczasem za dziewczętami — odpowiada wpółsmutnie, wpółżartobliwie:

„Bo wolę stokroć jasne oczy Lili
Niż smutny uśmiech zhołdowanej ziemi."
Wolę z sokołem na swojem ramieniu
Przebiegać dzikie bezbrzeżne obszary,
Niż skroń uchylić w niemem uwielbieniu
Przed wielkim mężem, lecz wrogiem mej wiary!
Niechaj gną karki!.. ja z pogodnem czołem
Bawię się z Lilą i bujam z sokołem."

I po chwili dodaje:

„Ta ręka niezdolna była wbrew woli matki iść."

Przy takim nastroju następcy tronu i najważniejszych w narodzie osobistości, mogłoby stanąć tymczasowe jakieś porozumienie między dwoma od wieków walczącymi ludami, gdyby nie intrygi Nuradyna.

Ta pozorna chociażby harmonja nie dogadza, jak wiemy, zamiarom jego. On chce, aby Almanzor wystawiony był na niebezpieczeństwa. Śmierci jego pragnie, by później jak mściciel jego zgonu módz przed Maurami wystąpić, i tron brata zaraz z Aminą zagarnąć dla siebie. Wdaje się więc w kłótnię z Sanchem, z której wychodzi zraniony nożem w skroń. Tę ranę ukazuje Awie, zapewniając ją, że cios nie dla niego, lecz dla Almanzora był przeznaczonym, że syn jej czyha na życie jej kochanka, i zdradziecko podsuwa jej myśl, że dla ocalenia życia Almanzora zgładzić potrzeba Sancha.

Myśl piekielna zakrada się do duszy Awy, duszy starganej tak namiętnością, że nie zdolnej już do żadnej rozwagi.

Następuje piękna scena u wróżbitki. Po kolei syn i matka pytają o przyszłość, o znaczenie komety, która właśnie zajaśniała na niebie. Ale Awa nie po to jedynie tu przyszła. Potrzeba jej trucizny, i truciznę tę dostaje.

Uczta. Król Maurów z rycerzami swymi zasiąść ma do niej obok chrześcijańskich królów.

„Dzisiaj — dzień biesiady...
I mego syna ma runąć trup blady."

Straszne te słowa mówi Awa, nalewając wino do puharów biesiadnych. Cała ta scena jest potężnie tragiczną, i gdy szczery, serdeczny, kochający młodzian wznosi pierwszy toast:

„Tutaj, o królu, widzisz w naszem gronie
Tę, z dłoni której kraj dziś pokój przyjmie
Z puharem pełnym ja zwracam się do niej,
Drżącemi usty wymawiam jej imię.
Z świętem uczuciem po nad brzeg wezbranem,
Dostojni goście w waszem kole stoję--
I—tym pracjców złotym roztruchanem,
Królowo-matko! piję zdrowie twoje!"

Widz drży mimowoli, by autor nie przeciągnął struny, nie nakazał w tej chwili milczenia ustom matki.

Ale nie, ona nie pozwoli mu wychylić tej czaszy!

„Stój! — dla mnie to wino!"

I wypija sama płyn zabójczy.

Wobec tego trupa niemożebna już zgoda. Zgromadzeni nie pojmują sytuacyi, ale podejrzenia ich zwracają się przeciw Maurom. Z obu stron naraz pada okrzyk: „Wojna!"

I Sancho wstaje, i zwraca się ku swoim:

„Zaprzysięgnijcie na to czoło blade —
Na ten miecz złóżcie wraz ze mną przysięgę
Że bratobójczej zaniechacie wojny,
Że każdy stanie jak jeden mąż zbrojny
Do walki krwawej! Zgnieść mamy potęgę!
Lecz gdy połączym rozstrzelone siły,
Rozpalim serca miłością ojczyzny —
Za każdą bliznę oddamy dwie blizny,
Nieulękłego porazimy wroga,
A jeśli padniem — wielkością mogiły
Zbudzimy gromy milczącego Boga!"

Tą piękną, entuzyastyczną przemową kończy się akt trzeci, który dostarczył widzom wiele potężnych wrażeń.

Dwa następujące po nim, choć akcya toczy się w nich żywo, choć posiadają wiele pięknych ustępów, nie wstrząsają tak nerwami widza lub czytelnika. Najsilniej tragicznym momentem jest bądź co bądź chwila, w której w duszy matki toczy się ta straszna, potworna walka. Po tem spektator nie rad już nowym wzruszeniom; jak gdyby dusza jego stała się po tem przejściu odporniejszą, mniej wrażliwą na nowe bóle, na nowe łzy. Może uwierzyć mu trudno, by były straszniejsze katusze od tych serca macierzyńskiego i sumienia starć z namiętnością. Dodam nawet, że obojętne mu są już dalsze losy Almanzora. On całą energię nerwów swoich skupił na postaci tej bladej kobiety, która życiem swojem niosła narodowi swemu śmierć bo sen w objęciach wroga, a zgonem swoim dobrowolnym roznieciła w nim iskrę życia.

Opowiemy jednak pokrótce treść ostatnich dwóch aktów „Almanzora."

Na pola Kalatu ściągają wojska chrześcijańskich władców.

Tutaj też rozłożyła się armia Almanzora, potężna armia, która przed niedawnym czasem w dwie części świata postrach niosła. Dziś upadła na duchu. Jakieś złe przeczucia krążą wśród Maurów, jakieś ostrzeżenia złowieszcze niósł im błądzący po obozach derwisz. Ów derwisz, to zaciekła w nienawiści swej Amina. Ona to siała postrach w wojsku Almanzora. A z gniazd górskich coraz nowe zrywają się zastępy, echa pieśni chrześcijańskich rozlegają się wśród wąwozów. Iberya cała powstała do boju z wrogami Krzyża i wolności.

Almanzor, nieustraszony Almanzor wobec napływających ze wszech stron wieści o zjednoczeniu i zgodzie wszystkich drobnych królików Hiszpanii, zaczyna uczuwać coś niby dreszcz trwogi przed tą żywiołową siłą zbuntowanego ludu. Przychodzi do boju. Uśpione umyślnie przez Nuradyna straże, wpuszczają nieprzyjaciela nocą do obozu. Rozpoczyna się bitwa. Nuradyn pierwszy daje hasło do ucieczki. Maurowie ponoszą klęskę. Nuradyn z Aminą uchodzą, przekonani, że Almanzora trup pozostał na placu bitwy.

Ale Almanzora rannego, zrozpaczonego uprowadzili wierni towarzysze.

Akt piąty rozgrywa się w Kordubie. Almanzor nad grobem dawnej potęgi i sławy, niby widmo snuje się wśród kolumn swego pałacu. Nocną porą zjawia się Nuradyn i Amina, dziedzice osieroconego, jak sądzą, tronu. Dostrzega ich Almanzor i dowody zdrady mając w ręku, zbiera sąd na wiarołomną parę.

Nuradyn skazany na pal, słania się jęczący ze strachu, i niema odwagi podanym przez Aminę sztyletem przyśpieszyć chwili zgonu. Wtedy ona przeciw piersi swojej zwraca mordercze żelazo, choć Almanzor wspomnieniami dawnej miłości uniesiony, winę jej przebaczył. Amina ginie ze słowami: „chciałam tego karła umrzeć nauczyć!" Autor kładąc te słowa w jej usta, uczynił ją niby symbolem tragedyi samej, której zadaniem uczyć umierać, gdy żyć się nie godzi.

Złamany, zbolały, niezdolny przeżyć sławy i wielkości Almanzor, żegnając z okna miasto swoje — umiera.

Taką jest treść sztuki. Treść aż za obfita, przelewająca się prawie przez brzegi. Nie jeden, dwa dramaty mieszczą się w tem jednem dziele, które publiczność przyjęła z zapałem oklaskami i wieńcami, dziękując autorowi za garść podniosłych uszlachetniających wrażeń.

Co do artystów, nie będziemy rozwodzić się nad grą każdego z nich. Wszyscy jak najsumienniej spełnili swój obowiązek. Niestety, nie z ich winy podupadła na scenie naszej tradycya dramatu i tragedyi. By wskrzesić ją w dawnej świetności, potrzeba przedewszystkiem wiele, wiele czasu i trudów.

H. C.

Anatol Krzyżanowski.

W KOLOŃSKIEJ KATEDRZE.

WSPOMNIENIE.

(Ciąg dalszy).

René Delpit poruszał się niespokojnie, jakby pod działaniem powolnej tortury.

Nagle, jeden z niemieckich patryotów zadeklamował głośno, znany wiersz Teodora Körnera, a po falach popłynęły słowa:

Mein Gott! Einst geht, hoch, ueber Feindes Leichen,
Der Stern des Friedens auf;
Dann pflanzen wir, ein helles Siegeszeichen,
Am frein Rheinstrom auf.

Francuz poruszył się, jak pod dotknięciem iskry elektrycznej.

— Och! — zawołał — drogo ich ta gwiazda pokoju kosztowała. Czy chcesz pani wiedzieć, ile razy wody Renu z krwią naszą się zmieszały? O patrz, patrz, proszę!..

I rozrzucając panoramiczną wstęgę nadreńskich widoków, wiódł po niej palcem, pokazując pochylonej ku niemu kobiecie:

— Ten sam „Schloss Johannisburg," podarowany został Metternichowi, a raczej marszałkowi Kellermannowi, przez cesarza Napoleona. A dalej: zwaliska „Ehrenfels," to zamek... zniszczony przez Francuzów; „Gutenfels" zburzony przez nich. Na lewo: „Schoenburg," obalony przez moich rodaków. Zresztą, w powieści tej, daty zmieniają się tylko: „Katzenellenbogen," to ruiny zameczyska, rozbitego przez Francuzów w 1806 r. „Rheinfels," zburzony był przez nich w 1795; „Rheinsee i Königssthul," zniszczone zostały przez wojska galijskie, podczas wielkiej rewolucyi. „Lahneck i Stoltzenfels" obrócili w perzynę nasi dziadowie.

Palec jego posuwał się coraz wyżej, ku Kolonii; oczy błyszczały, oblicze, objęte krótko ściętą czarną brodą, pałało wzruszeniem i zapałem.

— Koblencya — ciągnął — naznaczona jest mieczem francuzkim. Tu, na prawo, na skale wyniosłej, obelisk ku czci generała Hoche upamiętnia miejsce, w którem wojska jego Ren przekroczyły. Ruiny zamku „Seyn" świadczą również o tryumfalnym ich pochodzie. Od „Rheineck," aż do „Kolonii," wszędzie widnieją ślady zwycięzkiego oręża wojsk naszych. I tu, na tej ziemi, krwią francuzką użyźnionej, ośmielili się wznieść pomnik, ku upamiętnieniu jedynej klęski i hańby naszej. Zapomnieli, iż urągowisko to, które im miliony marek pochłonęło, może złe jeszcze przynieść owoce.

Palec, wskazujący wymieniane zameczyska, drżał silnie. W czarnych oczach Prowansalczyka płowe zapalały się błyski. Uniesienie dumy i patryotyzmu kazało mu zapomnieć o wszystkiem, nawet o pięknej słuchającej go kobiecie.

Jasne źrenice pani Zofii, w niego wpatrzone, piły ten zapał bezwiednie.

— Nie widziałam pana jeszcze takim — szepnęła z podziwem.

— Pardon! — zawołał, chyląc kornie głowę. — I znów przypomnieć muszę, iż mówiłem do córy wolnego niegdyś, a rycerskiego narodu; do istoty, która słowa moje odczuć i zrozumieć potrafi...

Pani Zofia, na znak sympatyi i współczucia, wyciągnęła do niego rączkę. On tę dłoń malutką ujął i pochylając się spojrzał głęboko w oczy kobiety.

— Zwaliska i wzgórza nadreńskie — mówił — posiadają punkty wytyczne, bardziej pani pokrewne, nad echo pobojowisk francuzkich.

Z pod ciemnego łuku brwi, podniosły się ku niemu z pytaniem, dwa przejrzyste topazy o złotych błyskach w źrenicy.

Spojrzenie to podnieciło jeszcze mężczyznę.

— *Per Bacchol* — zawołał — drugich takich oczu w życiu nie spotkałem. Ona jedna chyba mogła je posiadać.

— Kto?

— Loreley. Wszak pod skałą jej przepły-

wamy właśnie. Loreley, opiewana przez Heinego i tylu innych poetów, Loreley, która wabiła wzrokiem swym i śpiewem podróżnych, by statki ich rozbijać tutaj, a życie złamać i zabrać.

Młoda kobieta cofnęła rączkę, deklamując z przybranym patosem, początek znanej ballady:

Ich weiss nicht, was soll es bedeuten.

— O, pani wiesz dobrze, co może to znaczyć — trawestował słowa poety. — Lereley, to symbol, stworzony przez mądrość podań ludowych, uosabiający zaś władzę, jaką piękność kobiety będzie do końca świata na nas wywierać. Wiemy, że istnieją skały, o które możemy rozbić życie, a jednak, wabieni spojrzeniem lub głosem, zamieszkującej je rusałki, narażamy wszystko, nawet cele poważne, często społeczne lub ogólno-ludzkie, z istnieniem naszem związane, by czoło o skałę taką roztrzaskać.

— Jestże to bohaterstwo, czy lekkomyślność?

— Ani jedno, ani drugie. Instynkt wewnętrzny, siła żywiołowa, której oprzeć się nie mamy mocy. Do wszystkich tych zamczysk nadreńskich, przywiązane są romantyczne i rycerskie legendy. Żadna jednak ze znanych mi bohaterek owych pieśni, nie odpowiada żywiej obrazowi pani, nad klasyczną Loreley. Rusałka, której czar niebezpieczny na wodach tych wszechświatową zdobył sławę, musiała posiadać, jak pani, oczy zmienne, toń morską przypominające i włosy, z promieni zorzy północnej utkane.

Różowa jutrzenka rumieńca oblała piękne rysy kobiety.

— Ta fala krwi wraca mi otuchę. Inaczej, myślałbym, iż egzotyczna i poetyczna Loreley moja, u stóp tej skały, w mgłę się rozpłynie.

Naprożno próbowała uwolnić się z pod wpływu jego spojrzeń gorących, a zapał rozwiać, przybranym umyślnie tonem żartobliwym. Wybuchowa, namiętna natura południowca, porywała ją ogniem swym, wzruszała szczerością, upajała żarem źrenic i mocą słowa.

Tam, nad szarą Wisłą, w ciszy mazowieckiego dworu, nikt jej tych rzeczy nie mówił. Mąż, poczciwości człowiek, zawołany gospodarz i postępowy hodowca inwentarza, w niczem jej się nie sprzeciwiał, bo za duży na to wniosła mu posag. Zapytany z nienacka, jak żona wygląda, nie umiałby może dać szybkiej odpowiedzi. Owe włosy bowiem „z promieni zorzy północnej utkane” nie były w jego guście. Całe życie lubił ciemne sploty, rumiane lica, usta skłonne do śmiechu i oczy tryskające wesołością. Lubił trzeźwe, mocno po ziemi stąpające natury; tymczasem losy dały mu obok wielkiego posagu, chodzącą poezyę za żonę. Nie przeszkadzał jej więc: grać, marzyć i czytać, dużo czytać, „kąpać się w eterach,“ jak mówił, sam jednak pozostał od nich dalekim.

I, pobiegłszy myślą w przeszłość, spędzoną wśród owych mazowieckich równin, pani Zofja dała sobie rozgrzeszenie za wzruszenia, doznawane od niejakiego czasu. Wszak i jej się coś w życiu należało? I ona miała prawo, jeżeli nie do szczęścia, według własnych pojęć, to do chwili złudzeń. Wysłano ją tu dla zdrowia, dla otrząśnięcia się z zabójczej apatyi, a cóż ją szybciej pokonać mogło nad zdarzenia kilku ostatnich tygodni? Każde spotkanie z wykwintnym, pełnym ognia Prowansalczykiem, każde gorętsze jego słowo, lub ogniste spojrzenie, było właśnie iskrą elektryczną, pokonywającą ową gnuśność ducha.

Narerzcie i przed nią nowe otwierały się światy, i jej mówiono o czem innem, niż hodowla inwentarzy, płodozmiany lub urodzaje. Nie potrzebowała się kryć z myślą wyczytaną, z wrażeniem doznanem, z uczuciem wstrząsającem jej duszę. A wszystko to, co tam stanowiło przestępstwo, balast bezużyteczny, tu witane było poklaskiem i uwielbieniem. I w cieple tego uwielbienia, a w atmosferze niemego nieraz podziwu, zrozumiała własną wartość, nie moralną, lecz umysłową i zewnętrzną, na niezwykłej poetycznej urodzie opartą.

To ją budziło i podniecało, skłaniało do próbowania własnych sił, do lekkiej kokieteryi nawet. Prowensalczyk, w którego żyłach płynęła hiszpańska krew matki, czuł, iż wywiera wpływ rozmarzający na młodą kobietę i, szczerze nią zachwycony, tem silniejszy przypuszczał atak do złotowłosej swej Loreley. Opowiadał jej legendę za legendą, podanie za podaniem, a każde nowe ruiny, panujące nad wężowymi zakrętami Renu, dawały mu pole do wymownych uniesień i aluzyj.

Gdy pontonowy most Koblencyi zamknął się za parowcem, gdy prócz Bonn, stolicy mądrości niemieckiej i wspaniałego Siedmiogórza, nie było już nic na szlaku tym do oglądania, podróżni zeszli do sali jadalnej. Stoły suto zastawione a kwiatami przybrane, to rzecz, która zawsze budzi ożywienie. Gdy więc pięćset osób zasiadło przy *table d'hôte*, sama atmosfera uczty tej musiała podziałać na obecnych podniecająco.

„Johannisberger,“ złoty „Rüdesheimer“ i słodka a dziwną moc posiadająca w sobie „Krew smocza“ (Drachenblut) dokonały reszty. Rozgrzały się spojrzenia, rozwiązały języki.

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

Z za rzek i mórz.

Z niezwykłem zaciekawieniem śledzi dzisiaj świat ponury dramat nędzy i rozkładu społecznego, rozgrywający się w tej chwili na półwyspie Apenińskim — z zaciekawieniem powiadamy, bo objawów współczucia, a tem mniej faktów wyciągnięcia dłoni czynnej pomocy, nie mamy niestety do zanotowania. Te dzisiejsze społeczności gorączkowe, zadyszane a egoistyczne w gruncie rzeczy. mają zawsze dosyć czasu i ochoty, aby zaspokoić swój nienasycony nigdy głód wrażeń tem wszystkiem, co chwila obecna niesie ze sobą najbardziej wstrząsającego, ale im na akta zbiorowego miłosierdzia chrześcijańskiego względem cierpiących, ani czasu ani ochoty nie staje. Rozpostarło oto na jednym z krańców Europy posępne widmo głodu swój sztandar czarny, szaleje z rozpaczy część jedna — tą mianowicie, która się najbardziej czuje zagrożoną, w bezradnej bierności stoi ta druga, która się za względnie zabezpieczoną uważa, a przygnieciony oskarżeniami i niechęcią rząd tego kraju, szamocze się w uczuciu bezsilności, patrząc na spustoszenia, które szerzy śmierć, poprzedzana długą męką agonii. Zresztą wyludnienie, nędza, emigracye. Jest z czego snuć dramata dla ludzi pióra, jest o czem rozprawiać ekonomistom, socyologom i politykom, to też nie brak opisów, narad i rozpraw, ale drgnięć solidarności członków wielkiej rodziny ludów chrześcijańskich ani ujrzeć — ani zasłyszeć o nich. Tymczasem umierają tam faktycznie setkami i tysiącami — umierają z głodu starcy, kobiety, dzieci, a to co władniejsze jeszcze stara się dowlec do portów, aby szukać za oceanem ocalenia, w które na ziemi własnej przestali już wierzyć ci ludzie. Zima; dalekie jeszcze dobroczynne lato wraz z otuchą, którą przynosi ze sobą, a tymczasem klasyczna ziemia cudów karmi świat nowinami, od których włosy wstają słupem na głowie. W braku chwastów wiosennych przedłużają dzieci męki konania jedzeniem ziemi; tu znajdują starą kobietę zmarłą z głodu z okrwawioną własną ręką przy ustach, tam tłumy całe ginących żywią się słomą gotowaną w wodzie, w oczekiwaniu, aż im oszukiwany tą metodą organizm posłuszeństwo wypowie. Rozpacz jednem słowem. Emigracya lat poprzednich nie zażegnała nieszczęścia. W zeszłym roku sto kilkadziesiąt tysięcy wsiadło w Genui na statki, aby szukać bytu w Ameryce Południowej, w roku bieżącym to wyludnienie przybierze, rozumie się, rozmiary o wiele większe, bo dotąd już opuściło Włochy przez Genuę 100 z górą tysięcy niedobitków wielkiego kataklizmu ekonomicznego.

A tymczasem zaszczytem dla naszej cywilizacyi nie będzie chyba w historyi to pozostawienie samemu sobie wielkiego narodu, w godzinach jego niedoli — narodu, któremu ta cywilizacya ma bądź co bądź tak wiele do zawdzięczenia. Ha! powiedzą mędrsi i przezorniejsi, po co się wysilali, żeby zjednoczyć rozproszone części swojej ziemi — po co im się przyśniła rola wielkiego mocarstwa, kiedy nie mieli w sobie dosyć siły do jej odegrania na świecie — po co szukał ich rząd zaradzenia wojenną zdobyczą na kłopoty wewnętrzne, kiedy się powodzenia nie mógł spodziewać po sumiennym obrachunku?

Tak łatwo być mądrym po skutku — tak łatwo przychodzi rozpartym na powodzeniu sądzić i potępiać drugich.

A tymczasem niedola niedolą, a wobec niej szczególnie doprawdy odbijają we Włoszech festyny, jakie sfery rządzące przygotowują Rzymowi w pięćdziesiątą rocznicę nadania Piemontowi konstytucyi przez Ka-

rola Alberta, dziada dzisiejszego monarchy w roku 1848.

Pięćdziesiąt lat wstecz! To bądź co bądź żywotniejsza pod wielu względami była epoka, niż ta, którą przeżywamy obecnie. Dzieli nas od niej ogrom zdobyczy na polu umysłowego i materyalnego dorobku, ogrom szczególnie odbijający od takich właśnie katastrof jak ta, o której wzmiankę zrobiliśmy przed chwilą.

Pomiędzy nami a tą epoką moc niezmierna dokonanych odkryć naukowych i wynalazków praktycznych, które zdumiewają współczesnych, ale które nie usłużyły jednak w tym stopniu sprawie ogólnego dobra, jak nam to zapowiadali w początkach naszej ery apostołowie materyalnego postępu. Przy niejednym takim wynalazku, czy odkryciu, które lata pracy kosztowały bogatą jakąś organizacyę ludzką, można dziś już kłaść wielki znak zapytania, i oto właśnie na myśl nam przychodzi jedno z podobnych odkryć, które oznajmiono światu jako dokonane nieledwie, a którego znaczenie praktyczne dla szczęścia ludzkości szczególnie zagadkowo, a nawet powiedzielibyśmy że zastraszająco się nam zapowiada. W krótkich słowach zapoznać się postaramy z treścią jego czytelników naszych, o tyle rozumie się, o ile nam możność na to pozwoli. Użyliśmy tutaj wyrazu *nieledwie* ze względu, że odkrycie jest w toku dopiero właściwie, a podzielić się niem ze światem obiecywał jego autor za miesiąc jakiś, co mniej więcej na chwilę obecną wypada. Idzie tu o rzecz, która od pierwszej chwili, w której nam ktoś o niej opowiada wydaje się absurdem zupełnym — mianowicie o fotografowanie myśli ludzkiej przy pomocy specyalnego aparatu. Ojczyzną tego odkrycia Ameryka, a autorem Tomasz Edison, syn wielkiego Edisona, młodzieniec lat 21, o którego fizyognomii zewnętrznej i duchowej szeroko się przy tej sposobności rozpisują dzienniki starego i nowego świata. Ma on być usposobienia umysłu kontemplacyjnego, nieprzystępny zupełnie pokusom rozrywek właściwych wiekowi młodemu, a krótkie życie jego po wyjściu z dzieciństwa ubiegło mu w pracowniach ojca, dla którego żywi cześć niezmierną. To co umie, zawdzięcza w całości temu ojcu, bo do szkół żadnych nie uczęszczał młody Edison. Rysami twarzy i wyrazem przypomina podobno zupełnie także osobę tego ojca. Z obejścia i zachowania się jego, wedle tego, co mówi o nim blizki mu bardzo człowiek, możnaby sądzić, że dla niego niepodobieństwa nie istnieją. Dzieckiem patrzył na niesłychaną pracę ojca przy stopniowem doskonaleniu mikrofonu i fonografu i przyszedł do przekonania, że niema granic, którychby nie można przekroczyć umysłem przy wielkiem natężeniu woli.

Możliwość zdjęcia fotograficznego odbicia myśli ludzkiej, nasunął podobno młodemu Edisonowi proces ustalania się na siatkówce oka przedmiotu widzianego i możliwość przeniesienia następnie na płytę fotograficzną tego obrazu. Pracuje on nad tem już od dosyć dawna, i wiadomem ma być, że zbudował już ów aparat, którego konstrukcya jemu tylko jednemu dotąd jest wiadomą, i że ją w miarę ciągłych prób odmienia i udoskonala.

Do swoich doświadczeń potrzebował on znaleźć sobie najprzód indywiduum, które wedle jego zapatrywań obdarzone być musiało siłą woli bardzo wybitną, a przytem takim stopniem jasności myśli, iżby ta myśl materyalnie pochwycić się dała. No, i posiada już dzisiaj takiego szacownego, jak sam zapewnia, osobnika, i odbywa na nim ciągłe doświadczenia, które dają rezultaty coraz po myślniejsze. O tyle, o ile sprawa ta poza próg laboratoryum transpirowała do świata dziennikarskiego, głowa tego człowieka, a raczej tego medyum, jest ogoloną, a na niej spoczywa jakaś dziwacznego kształtu korona czy hełm złożony z krążków miedzianych i siatki stalowej, połączonej takimiż drutami z aparatem ustawionym naprzeciwko, w zwykłej odległości praktykowanej przy zdjęciach fotograficznych.

Pierwszą próbę z wykradzeniem organowi myślenia jego tajników, odbył młody Edison ze sztuką monety. Zalecił on temu swojemu medyum najwyższy stopień natężenia myśli dla wyrycia tam wyobrażenia szyllinga. Po upływie czasu potrzebnego, wedle przewidywań, na odbicie się przedmiotu myśli na powierzchni płyty, wyjęto tę ostatnią i ukazał się w samej rzeczy kontur ograniczony linią niewyraźną formy kulistej, na powierzchni której nieznaleziono jednakże żadnego z tych wyobrażeń liter, cyfr i płaskorzeźb, widniejących na szyllingu. Nadto forma przechodziła rozmiarami monetę, co Edison położył na karb natężenia myśli, zbyt skoncentrowanego, w stosunku do przedmiotu tak prostego, jaki stanowi moneta.

To była próba pierwsza, z której jednakże wynalazca był najzupełniej zadowolonym. Następne posunęły go, jak opowiadają zaufani, o wiele dalej, a jakkolwiek tajemnica jest nader bacznie strzeżoną, wiedzą jednak najbliżsi, że do aparatu używane są i promienie Roentgena. Edison utrzymuje podobno, że dzisiaj już wie on na pewno, iż myśl ludzka daje się zmateryalizować. Myśl, a więc znaczyłoby to, że już nie idzie o kształty, ale o pojęcia. Po jednej z takich prób miał się wyrazić młody Edison:

„Nie mogę powiedzieć, że jestem w możności dzisiaj już przekonać świat o tem, iż ten cień, który oto leży przedemną, jest myślą, bo forma sama zbyt mało jest jeszcze wyraźną, aby stanowić mogła dowód niezbity—ostateczny. Co do mnie jednakże, to ja jestem przekonany, iż to, co otrzymałem jest niezaprzeczonem zmateryalizowaniem ludzkiej myśli."

A zatem znaczyłoby, że reszta jest kwestyą udoskonalenia techniki, wyższego stopnia precyzyjności w funkcyach aparatu, albo innych wogóle szczegółów wykonania, o których Edison bliższych informacyi nie uznał dotąd za stosowne udzielić światu.

Budzić to musi wszystko razem wzięte nietylko podziw najwyższy, ale i najzupełniejsza nawet niewiara byłaby tutaj jeszcze usprawiedliwioną. To też dr. L. Caze w sprawozdaniu swojem o tem wykluwającem się odkryciu, powiada, że istotnie najroztropniej byłoby tu zachowywać się sceptycznie, gdyby tylko bawienie się w wątpliwości z Edisonami było bezpiecznem.

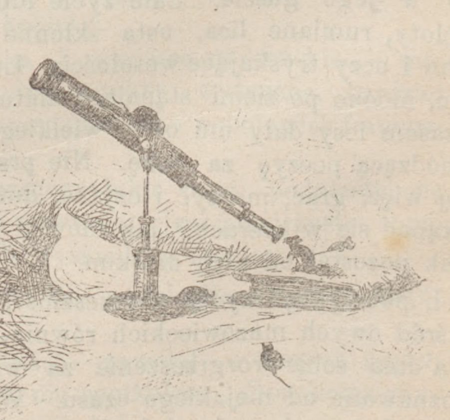
Tyle co do samego odkrycia. Jeśli istotnie w bliższej lub dalszej przyszłości przyoblecze się ono w formę, będzie o nim mogła z pewnością powiedzieć potomność, że było wcieleniem się najzuchwalszego pomysłu, jaki kiedykolwiek zagościł pod czaszką ludzką. O stronie jego praktycznej — o doniosłości dla nauki trudno zaiste dzisiaj przesądzać, tem mniej pozwalać sobie na przewidywania dodatniej lub ujemnej natury. Jużciż niewątpliwie nauka, a zwłaszcza nauka lekarska, wydobędzie z niego wszystko, co się wydobyć da ku pożytkowi ludzkości, ale ma też w sobie ta myśl coś przerażającego zarazem—coś, czemu od pierwszej chwili, w której się o niem rozeszła pogłoska, oprzeć się trudno. Wrażenie to, te obawy nie ustają w miarę, jak się zagłębiamy przypuszczeniami w losy i koleje tej nowej broni, którą człowiek dostaje do ręki—ewentualnie dla pożytku, ale możliwie i na szkodę sobie podobnych.

Przypominamy sobie przed paru laty reprodukcyę obrazu jednego z malarzy-symbolistów, którą podawała niemiecka illustracya „Moderne Kunst." Widzimy tam na obrazie męką postać jakiegoś nowego Prometeusza, stojącą na skale, do której ta postać za ręce i nogi przykutą jest łańcuchem. Dokoła bezmiar, pustynia oceanu, nicość przerażająca, a pół mroczna, a z niej wyziera tylko jakichś dwoje oczu nienależących do żadnej głowy, a tem samem do żadnej postaci człowieczej, ani demonicznej. Nic tylko te oczy—nic prócz tego wzroku, utkwionego w onego skazańca, ale to widmo przeraża bardziej, niż gdybyśmy tego pokutnika widzieli zagrożonego tysiącem wrogich kształtów ludzkich i zwierzęcych. To spojrzenie bada, przenika, trwoży, to spojrzenie jest wyrazem najwyższej tortury moralnej wywieranej dłonią najwyższej potęgi niewidzialnej.

Jest w tem odkryciu Edisona coś tajemniczego, a nieokreślonego, co przypomina obraz tamten—i nasuwa te same myśli, którym się przy spotkaniu z tamtem ponurem widziadłem artysty opędzić nie można. Ostatnie tedy schronisko, do którego ucieka skołatany duch ludzki, zagrożone. Ostatnia tajemnica i ostatnia własność wyłączna człowieka przestaje być jego własnością i tajemnicą.

Z czynów naszych winniśmy rachunek społeczności, wśród której nam żyć kazano—myśli należą tylko do Boga.

A. S.



KRONIKA.

Sprawy społeczne.

W d. 7 b. m. w salach warszawskiego Muzeum Przemysłu odbyło się posiedzenie nowo utworzonej sekcyi drobnego przemysłu i handlu. Zarząd tej sekcyi składają pp. Kiślański, Łącki, Chełchowski i Kowalski. Pierwszym krokiem działalności sekcyi było wybranie delegacyi do zajęcia się i zjednywania w całym kraju orędowników drobnego przemysłu i korespondentów sekcyi. Między postanowieniami tego zebrania zapadła i decyzya poczynienia kroków u władz właściwych, aby kuratorya trzeźwości rozciągnięte były i na Królestwo Polskie. Poruszono w dalszym ciągu kwestyę zabaw ludowych, a p. Leppert kładł nacisk na uwzględnienie tej potrzeby w miastach, i jako początek wskazywał konieczność odpowiednich urządzeń na Saskiej Kępie i Bielanach. Ze względu na widoki, jakie ma w kraju naszym koszykarstwo, wydelegowanym został do Galicyi p. Malinowski, celem zbadania stanu koszykarswa w tej prowincyi i zamówienia instruktorów. Nie mówi tylko sprawozdanie o staraniach rozpowszechnienia wierzby koszykarskiej, a jest to właśnie, od czego u nas zacząćby właściwie należało.

Wogóle, powiedzieć można, że inicyatywa nowej sekcyi objawiła się energicznie, a żywotności jej dają świadectwo ofiary pieniężne, które na rzecz drobnego przemysłu złożono. I tak: p. Kleniewska, o której działalności popierania tkactwa donosiliśmy czytelnikom naszym, złożyła rs. 500, p. Polczyński rs. 200, a dr. Hassewicz 2,000 rs. W każdym razie krok zrobiony, kierunek wskazany, a poparcie i pogarnięcie się do współpracownictwa należy do ogółu.

Ministeryum komunikacyi roztrząsa obecnie projekt dopuszczenia kobiet do służby na drogach żelaznych w charakterze kasyerek i buchalterek, jak oczekiwać wolno, z prawami do emerytury, bez czego rozumie się, reforma straciłaby na doniosłości. Ważnem jest równie bardzo, azali uzna ministeryum potrzebę uwzględnienia pierwszeństwa dla żon i córek dotychczasowych urzędników kolejowych, jak to ma miejsce we Francyi. Przemawia za tem i dobrobyt, niesobliwie dotąd wynagradzanych, urzędników dróg żelaznych, i oszczędności, jakie na systemie takim może mieć państwo.

Pracownicy aptekaracy przedstawili pryncypałom żądania swoje, dotyczące podwyższenia dotychczas praktykowanych płac, a przytem jednoczesne zmniejszenie godzin pracy. Jest to dosyć nieszczęśliwe połączenie tych dwóch wymagań tak zupełnie przeciwnych sobie, ale należy pamiętać, że proceder aptekarski liczył się do najzyskowniejszych, tak że mu nawet świadomi rzeczy nadawali epitet: 99%. Przypuśćmy, że wiek złoty aptekarstwa skończył się bezpowrotnie, przypuśćmy, że jest ono w połowie tylko tak zyskownem, jak było niegdyś, zawsze jednak i w takim jeszcze wypadku pozostałaby ładna od kapitału stopa procentowa tym panom, którzy jako emblemat przyjęli owiniętą dwoma wężami laskę Merkurego—symbol wielu, jeśli nie wszystkich najzyskowniejszych przedsiębiorstw. Musiała jednakże propozycya subalternów profesyi nie przypaść do przekonania pryncypałom, bo dali oni podobno odpowiedź, która wcale pierwszym nie wydała się zadosyćuczynieniem. Tak stoi ta sprawa tymczasem.

Szkoła.

Program powstającej w Łodzi szkoły farbiarsko-przędzalnianej obejmuje: języki rossyjski i niemiecki, arytmetykę, algebrę, geometryą i trygonometryę, fizykę, chemię, mechanikę chemiczną, terminologię, buchhalteryę, prawo handlowe i wekslowe, niemniej zajęcia praktyczne i demonstracye, tej gałęzi przemysłu odpowiednie. Kandydaci do tej szkoły przyjmowani będą z dwóch najmniej klas realnych. Zarządzającym szkołą jest p. Grünbaum.

Sprawy szpitalne.

„Kuryer Warszawski" podaje w numerze z dnia 10 b. m. budżety niektórych szpitali warszawskich tudzież ilość łóżek, jakiemi każdy z nich rozporządza. I tak znajdujemy: w szpitalu zapasowym łóżek 80, a budżet jego wynosił w r. b. rs. 29,730 t. j. 2,030 rs. więcej niż w roku zeszłym. Zakład św. Jana Bożego o 200 łóżkach budż. 27,205 (mniej o 7,635 rs. niż w roku ubiegłym). Przytułek dla starych sług przy ulicy Przyrynek na 75 łóżek rs. 36,360. Przytułek św. Ducha i N. P. Maryi na 140 łóżek rs. 10,520.

Z prasy.

Wydział do spraw prasowych zatwierdził na stanowisko redaktora „Przeglądu Pedagogicznego" p. Władysława Skrzetuskiego, b. nauczyciela III-go gimnazyum męzkiego w Warszawie.

Redaktor wychodzącego u nas pisma w języku rossyjskim i polskim p. t. „Gazeta adresowa m. Warszawy" p. Wojciech Wiśniakowski, otrzymał koncesyę na wydawnictwo tygodniowe tego pisma p. t. „Gazeta informacyjna i adresowa m. Warszawy Cena prenumeraty rs. 1 kop. 35 rocznie wraz z przesyłką pocztową.

Korespondent Łódzki do „Głosu" podaje: „Przed kilku dniami pisma miejscowe ogłosiły wykazy ofiar na dobroczynność miejscową, które znaleziono przy rewizyi skarbonek. Niektóre z nich jako wielce charakterystyczne przytaczamy: Oto w lokalu zgromadzenia rzeźników złożono do skarbonki rs. 15 kop. 18, a w gospodzie czeladników rzeźnickich rs. 6 kop. 73. Co się tyczy skarbonki klubu cyklistów łódzkich, to okazało się, że ona zawierała kopiejek 9 (wyraźnie dziewięć). Trzeba przytem wiedzieć, że stowarzyszenie cyklistów w Łodzi liczy 240 członków stałych, którzy dotąd opłacali składki rocznej po rubli 18. Obecnie zaś członkowie czynni obowiązani są wnosić rocznej składki rs. 25, a członkowie nieczynni, tak zwani lądowi (ciekawa rzecz dlaczego oni są lądowi, a dlaczego tamci nie są lądowi) rs 50. Z tych cyfr przekonać się może każdy, że poczucie obowiązków społecznych wśród rzeźników jest 230 razy więcej rozwinięte, aniżeli wśród cyklistów."

Jaki to złośliwy człowiek ten jakiś korespondent z Łodzi, ale co z nim począć, kiedy się zasłania cyframi i to tak wymownemi cyframi.

Przyszły międzynarodowy zjazd przedstawicieli prasy odbędzie się we Wrześniu, w Lizbonie. Termin dokładny zostanie naznaczony przez komisyę na zebraniu, które się odbędzie w Maju, w Heidelbergu.

Zmarli.

Ze Lwowa donoszą nam o śmierci *Andrzeja hr. Fredry*, syna Jana Aleksandra, a wnuka Aleksandra hr. Fredry, istotnego i niekwestyonowanego dotąd na seryo, ojca komedyi polskiej. Zmarły idąc śladami ojca i dziada rozpoczął pracować na niwie literatury dramatycznej; zgon przedwczesny przerywa tę działalność w zawiązku samym. Po wnuku znakomitego komedyopisarza pozostaje tylko jednoaktówka: „Stowarzyszenie kobiet wyższych."

Dr. Roman Jasiński, ordynator szpitala dla dzieci. Ś. p. zmarły liczył się do wybitniejszych lekarzy naszego miasta; specyalnością jego była ortopedya. Pozostawia żal szczery w gronie kolegów i uczucie wdzięczności w sferach wielce rozgałęzionej klienteli swojej.

Erazm Nowakowski profesor warszawskiego Instytutu Muzycznego. Pisał dużo w zakresie historyi muzyki w Polsce i pedagogii fortepianowej, niemniej pozostawił w rękopiśmie materyał do encyklopedyi muzycznej. Niegdyś uczeń Szkoły Centralnej w Paryżu, porzucił nauki ścisłe dla sztuki umiłowanej przezeń jeszcze w wieku dziecięcym; znany był i ceniony w gronie kolegów i blizkich, jako człowiek szlachetnego sposobu myślenia i nieposzlakowanej czystości charakteru.

Pokój jego pamięci.

Wskazówki i rady.

Kiełbaski parowe z ryżem.

Ugotować pół funta najlepszego ryżu po odparzeniu go jak zwykle, na dobrym bulionie z masłem. Gdy zupełnie miękki—odstawić do ostudzenia. Ugotować do pół funta ryżu sześć lub pięć par parowych kiełbasek, pilnując aby się nie przegotowały. Gdy przestygną trochę, pokrajać każdą na 3 kawałki, rondel wysmarować masłem, położyć warstwę ryżu, warstwę kiełbasek i znowu ryż i kiełbaski przykryć ryżem i wstawić pod blachę tylko na pół godziny, aby się dobrze rozgrzało, ale wcale nie zapiekło—bo ta potrawa podaje się z rondlem, niebieskim, emaljowanym lub niklowym, który powinien być bez rączki.

Wyborne danie na kolacyę.

Lucyna Ćwierczakiewiczowa.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Sz. Prenumeratorce z nad Wisły. Plamy rdzowe można wywabić kwasem solnym, albo rozgrzawszy na łyżce kwas cytrynowy zmoczyć nim miejsce splamione i zostawić tak do wyschnięcia. Potem wyprać.

W-na Jad. Olsz. w Żytom. Metoda, o której Sz. Pani pisze, jest niepraktyczną. Wszystkie dodatkowe przybory kosztują kilkanaście rubli. Automatu nie znamy.

☞ Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami.

Дозволено Цензурою. Варшава, 4 Марта 1898 г. Warszawa, Druk Emila Skiwskiego. Redaktor i Wydawca **Jan Skiwski** **DODATEK.**

Juliusz Zeyer.

JAN MARYA PLOJHAR.

PRZEŁOŻYŁA

MIRIAM.

(Dokończenie).

Gdy Jan Marya usnął nakoniec, poszła Caterina do swego pokoju. Padała ze znużenia; poprosiwszy, aby ją obudzono, gdyby była potrzeba, położyła się i twardo zasnęła. Noc minęła spokojnie. Rano wszakże, zaledwie Caterina była się ubrała, weszła do pokoju zapłakana Suntarella.

— Ach — myślę, że to już ostatni dzień — szlochała—bądź silna, bądź silna.

Pod Cateriną zatrzęsły się nogi, pospieszyła do niego. Był cały zmieniony i coś jej szepnęło:—Jest to ostatni jego dzień.—Serce ścisnęło jej się kurczowo, ale cała słabość minęła w okamgnieniu. — Ostatni jego dzień? — powtórzyła w duszy.—Tak, ale i mój.

Jan Marya prosił, aby go Francesco ubrał, a potem kazał się zanieść na górę do salonu. Nie mógł wytrzymać w swoim pokoju. Dzień był słoneczny, ciepły, czarownie piękny, ziemia i niebo wydawały się jednym wielkim uśmiechem pogody i wesela. Caterina kazała wynieść kanapę na taras, ułożyła tam chorego i nie ruszyła się od jego boku. Na jej naleganie wypił nawet jeszcze nieco wina, silnie wodą rozcieńczonego. Popołudniu usnął, a Caterina weszła do pokoju, zostawiając drzwi otwarte.

— Czyby nie posłać po Luigi'ego—spytała Suntarella.

Caterina zamyśliła się na chwilę.

— Nie ma już potrzeby—rzekła potem.

Suntarella dziwiła się, widząc ją tak spokojną. Gładziła ją po twarzy.

— Idź — prosiła ją Caterina — idź na taras do niego. Ja napiszę tutaj krótki list do dona Clemente.

Suntarella poszła. Caterina otworzyła hebanowy sekretarzyk. Złoty wieniec znaleziony w grobie etruskim błysnął jej jasno przed oczyma. Włożyła go sobie na głowę i spojrzała w zwierciadło.

— Już nie drżę jako wówczas, gdym po raz pierwszy pomyślała o śmierci — szepnęła cicho. — Wówczas, gdy on po raz pierwszy wszedł do tego pokoju!

Zamyśliła się, zdjęła wieniec, włożyła go do szkatułki i napisała na jej wieczku: — Na pamiątkę donowi Clemente. Caterina di Soranesi.

Potem wzięła papier i napisała ten list:

— Don Clemente! Ostatnie słowa, które wymawiam tu na ziemi, zwracają się do ciebie, do ciebie i do Luigi'ego. Tobie i jemu dziękuję z głębi duszy. Powiedz Luigiemu, aby mi odpuścił boleść, jaką mu sprawię. Jest silny i przemoże ją. Błogosławię mu. Ciebie, ojcze, nie proszę, abyś mi odpuścił. Ty pojmujesz mnie. Umrę z tym, którego kocham. Nie jest to żaden czyn rozpaczy. Jestem spokojna, zupełnie spokojna. Nie może to być grzechem, bo miłość, tylko miłość prowadzi mnie ku temu, co czynię. W starożytności nikomu by zaiste na myśl nie przyszło potępiać mój postępek. Zstąpić z kimś dobrowolnie do grobu wydawało się naturalnem i prostem ludziom, którzy wówczas silnie miłowali. Było to jak gdyby towarzyszyć komuś w podróży.

Patrz ojcze: mamy jednak jeszcze tę starą rzymską, tę starszą etruską krew w żyłach, my, dzieci dawnego Latium! Nie jestże to przedmiot do rozmyślań dla archeologa? Widzisz, ojcze, żem spokojna, toć zdołam nawet w tej chwili jeszcze żartować! A nie powinnabym może! O, śmierć jest piękna, ale nieskończenie, niewysłownie uroczysta! Jest mi tak, jak gdybym czuła ją już obok siebie — widmo jej patrzy na mnie. Bicie serca wstrzymuje się, ale serce nie drży. Nie boję się śmierci, boję się tylko tego, co się zwie pociechą. Bo pociecha znaczy: zapomnienie, a zapomnienie dopiero prawdziwem jest rozstaniem. Życie, wieczność między nim a mną! Nie, don Clemente, tego nie chcę, tego nie zniosę. Dla tego idę z nim, a jeśli błądzę jednak, niech Bóg mi to odpuści! Bądź zdrów, ojcze, bądź zdrów i szczęśliwy! Wszystko, co mam, oddaję w ręce twe; podziel to pomiędzy biednych swych i tych, którzy mnie i jemu służyli. Wiem, że podzielisz sprawiedliwie! Zaopiekuj się zwłaszcza mą starą, poczciwą Suntarellą! Pociesz ją, powiedz jej, jak gorąco ją kochałam, i jak mnie to boli, że pożegnać się z nią nie mogę. Ale nie można!

Raz jeszcze, żegnam cię, ojcze! Pozdrów Luigi'ego, kochałam go jak brata najdroższego. I matkę jego pozdrawiam. Donnie Paolinie odpuszczam. Niechaj i ona tę przedwczorajszą niechęć mi odpuści. Poczciwej Ninie powiedz, że i o niej wspomniałam w tych okamgnieniach ostatnich.

Niech Bóg Ci błogosławi, don Clemente! Do zobaczenia tam, w tej nieokreśloności — w toniach miłości Bożej i Bożego miłosierdzia!

Caterina di Soranesi Plojhar.

Dziewczę, położywszy ten podpis, zastanowiło się, uśmiechnęło i z dziecięcą tkliwością pocałowało to nazwisko, którem podpisało się po raz pierwszy i ostatni.

Złożyła potem list, przymocowała go do skrzynki, w której etruskie leżały klejnoty, wstawiła wszystko razem do sekretarzyka i nie zamknęła go. Potem wyjęła srebrną puszeczkę z trucizną, którą Jan Marya kiedyś od swego przyjaciela Konstantyna był dostał, a którą ona mu zabrała. Włożyła ją do kieszeni i, blada, spokojna, cicha, wyszła na taras.

Jan Marya nie spał już. Oczy jego błądziły po bezbrzeżnej kampanii, Suntarella coś mu cicho opowiadała, czego widocznie nie słuchał, bo gdy Caterina koło niego stanęła, uśmiechnął się, a uśmiech ten mówił:—Przyszłaś nareszcie!—Znać było, że myśli jego zupełnie i wyłącznie nią zajęte były.

Caterina spojrzała na niego i zachwiała się lekko. Widziała umierającą matkę swą, a potem jedną przyjaciółkę z klasztoru, którą kochała niezmiernie. Wiedziała, co to śmierć, i rozumiała jej oznaki. Nie mogła się mylić. Ta śmierć, o której przed chwilą pisała do dona Clemente, że widzi jej widmo u swego boku, ta śmierć stała już koło niego, cień jej był widoczny na jego czole. Nie ulękła się, wiedziała, że nawet ona jej z nim nie rozłączy, i to więc groźne widziadło nie miało dla niej grotu.

— Idź, poczciwa Suntarello — rzekła do staruszki.—Odpocznij sobie. Jeśli będzie potrzeba, zawołam na ciebie, albo zadzwonię. Zdrzemnij się chwilę.

Suntarella zawahała się, ale posłuchała. Caterina patrzała za nią ze wzruszeniem—żegnała się z nią w duchu. U drzwi staruszka zatrzymała się i wróciła do niej.

— Posłucham—rzekła—ale obiecaj mi, że i ty mnie posłuchasz i pójdziesz zdrzemnąć się, gdy powrócę. Widzę, że sama padasz ze znużenia.

Caterina uśmiechnęła się dziwnie.

— Zdrzemnę się — rzekła krótko. Potem wzięła Suntarellę za głowę i kilka razy namiętnie ją pocałowała. — Ty dobra, wierna duszo—szeptała jej—ty droga, dobra duszo!— I przycisnęła ją do siebie. Potem zebrała znowu siły i rzekła:—No, idź!

Suntarella potrząsała głową. Oczy Cateriny miały blask taki dziwny—usta takie były zlodowaciałe.

— Ma gorączkę — pomyślała staruszka. — Niech już raz będzie koniec tego udręczenia! Niech Bóg go do siebie powoła, skoro ratunku już nie ma, inaczej rozchoruje się i ona! — I otarła oczy.

Caterina siadła koło Jana Maryi. Trzymali się za ręce i milczeli. Słońce powoli chyliło się ku zachodowi. Jan Marya patrzał na cichą, senną, smętną Kampanię, niewysłownie wzruszającą z tym wyrazem do niczego przyrównać się nie dającej odrębności, a tak czarującą harmoniami wszystkich linij i wdziękiem swych barw. Łuna światłości padała na nią z nieba i wznosiła się, jako refleks, znowu z powrotem ku niebu. Janowi Maryi zdało się znowu naraz, jako wówczas, gdy leżał w strudze krwi pośród połamanego sitowia, że wszystko dokoła jakąś inną, wymowniejszą, wyrazistszą, od zwykłych pojęć tak dalece różniącą się, przybiera powierzchowność. Zaczął w treści pojmować te nowe kształty, acz tego, co czuje, tego, jak je widzi, jasno zdefiniować nie zdołał. Było mu znowu, jak gdyby nowy jakiś, nieznany zmysł w nim się budził, zmysł, będący rodzajem jakiegoś widzenia, ale połączonego z pojmowaniem i rozumieniem, które cielesnemu widzeniu zupełnie są obce. Zaczął naraz i siebie pojmować lepiej, i życie, i śmierć. Wiedział, że to wszystko było czemś innem, czemś zupełnie innem, niż jak był dotąd wszystko to rozumiał. Jakież to wszystko było proste.

— Ach — rzekł — jakaż to niespodzianka! jakież to proste wszystkich zagadek rozwiązanie!

— O czem myślisz?—spytała Caterina, widząc zdziwiony wyraz jego twarzy.

Na dźwięk jej głosu upadł Jan Marya nagle z powrotem w swe stare ja. Ten nowy zmysł, ta nowa zdolność pojmowania zgasły, zdało mu się, że dusza jego, ta wyższa, ja-

śniejsza świadomość, znowu oczy przymknęła. Należał znowu do ziemi i patrzał na nią okiem ziemskiem. Z tą dawną świadomością powróciła i boleść.

— Caterino — rzekł cicho i marząco — zda mi się, że przyszła chwila rozstania.

Caterina uśmiechnęła się.

— Nie sądzę — rzekła krótko.

Oboje milczeli znów przez chwilę.

Nie wiedział, jak się to stało, ale naraz wspomniał Czechy—i było mu niewymownie smutno.

— Z Bogiem ty ziemio łez—rzekł—z Bogiem! Żywy nie znalazłem miejsca na sercu twem. Kości moje nie znajdą miejsca w łonie twojem. A ja cię kochałem!

Wymówił to po czesku.

Caterina pochyliła się ku niemu.

— Majaczy — pomyślała i niepokój ją ogarnął.

Na czole jego stały wielkie krople potu, wszystkie nerwy jego zaczęły pracować. Widział wyraz jej oka i rzekł z wysiłkiem:

— Było to pożegnanie z ojczyzną.

Po chwili dodał:

— Z Bogiem, Caterino. Bądź szczęśliwa. Przyszła godzina.

Chciał usiąść, dusił się. Caterina starała się przynieść mu ulgę. Zamknął oczy. Poszła szybko do stołu, gdzie stała woda, nalała ćwierć szklanki, drżące jej palce z wysileniem otworzyły srebrną puszeczkę z trucizną. Wsypała ją do wody. Wzięła szklankę i wróciła do Jana Maryi. Uczuwszy ją przy sobie, otworzył znowu oczy. Z obłąkaniem jakiemś spoglądał do koła siebie, potem opamiętał się.

— Zostań z Bogiem, Caterino — rzekł raz jeszcze.

— Nie—odrzekło dziewczę z nadprzyrodzonym spokojem, stanowczo i wyraźnie. — Nie, Janie Maryo, my się nie rozejdziemy, my się nie rozstajemy. Idę z tobą, razem staniemy przed Bogiem miłosierdzia i miłości! Razem pójdziemy tam w dół, pod ziemię.

Patrzał na nią, oczy mu zajaśniały. Nie zrozumiał wszystkiego, ale słowa „pójdziemy razem,“ „nie rozstaniemy się“ zabrzmiały mu jak muzyka.

Dziewczę wypiło truciznę. Wstrętny, mdlący zapach uderzył jej do nozdrzy, a potem do mózgu. Dopiwszy, odrzuciła szklankę ku balustradzie. Przykry dźwięk rozbijającego się naczynia zabrzmiał dziwacznie w uroczystej ciszy wieczornej, uświęconej obecnością śmierci. Caterina padła na kolana. Dziwne przeszyło ją uczucie, ból straszliwy przebiegł jak skra elektryczna całe jej ciało i pozostawił odrętwienie i chłód we wszystkich członkach. Chciała mu powiedzieć: — umieram z tobą — ale język jej nie miał już władzy. Głowa jej opadła na jego kolana, a ostatnie zadrgnienie rozumu i pojmowania napełniło ją grozą niezmierną; miała świadomość, że popełniła zło, nie wiedziała już jasno jakie, ale z przerażeniem niezmiernem, ogłuszającem ciało i duszę, zapadła w mrok niebytu...

Jan Marya pojmował nawpół tylko. I je, mu było ciemno, mglisto w myśli. Ujął ją obiema rękoma i zwrócił nieruchomą już jej twarz ku sobie. Tak była ongi matka jemu uczyniła, gdy umierała w Hawranicach... Zdało mu się, że jej uśmiech powraca teraz ku niemu, acz jej nie widział, już teraz... Spojrzał raz jeszcze dokoła siebie.. Kampania dymiła pod zapadającym zmrokiem, niby ogromna kadzielnica, ku bezbrzeżnemu niebu... Niepojęte przejęło go uczucie, czuł coś jakby ulgę.

— Śmierć jest czemś innem, niż zawsze myślałem — zabrzmiało w nim znowu, choć nawet szepnąć już tego nie zdołał. — Caterino... — chciały zaszemrać usta jego, i nagiął się ku tej sinej, marmurowej twarzy, na której widniał wyraz grozy.

Drgnął, pochylił się niżej i, jakby złamany w połowie ciała, padł twarzą na jej twarz, którą ostatniem wysileniem od kolan aż do piersi swych podniósł..

Kampania widziadlanymi dymiła oparami. Głęboki mrok padał z nieba, które zaczynało gwiazdami niby tętnami się ożywiać... Była cisza, głęboka cisza. Wiatr niekiedy zaszemrał w drzewach..

Suntarella weszła ostrożnie na taras. Osłupiała ze grozy. Stała chwilę nieruchomo, potem w gorączkowem podnieceniu jęła dotykać obu trupów. Nie chciała wierzyć; gdy wszakże nie było już wątpliwości, siadła na ziemi. Nie wołała nikogo, nie modliła się, patrzała ku niebu, patrzała na bezbrzeżną, mroczną, posępną, widziadlaną krainę, a dźwięki, głębokie i rozgłośne, które teraz z otwartych szeroko jej ust wydobywać się jęły, nie miały w sobie nic ludzkiego, nic do słów, ani do płaczu podobnego. Takie dźwięki jak owe, które teraz przez mroczne płynęły powietrze, i w wiatr i w cisze zapadały, znałaś ty, posępna, ciemna Kampanio, znałaś je dobrze w dobach, gdy jeszcze Latium się zwała, gdy pyszny, wieczny Rzym chwałą swą jeszcze nie napełniał świata, a wilczyce tylko dokoła ciebie po górach wyły, pod temiż rojącemi się jako dziś gwiazdami...

KONIEC.

Od Redakcyi.

Z uwagi, że spóźnione wnoszenie prenumeraty oprócz utrudnień dla administracyi, pociąga za sobą nadto niemożność obliczenia nakładu pisma, przez co wszystkim zgłaszającym się później odmawiać musimy wysyłania „Tygodnika“ — upraszamy Szanownych Abonentów o wczesne wnoszenie prenumeraty na kwartał drugi.

Adres: „Tygodnik Mód i Powieści“ w Warszawie, Chmielna Nr 26.

Przypominamy Szanownym Prenumeratorom o nadsyłaniu kartki adresowej z opaski przy odnawianiu prenumeraty, jak również przy wszelkich reklamacyach.

Do nabycia we wszystkich księgarniach

ORAZ

W ADMINISTRACYI „TYGODNIKA MÓD I POWIEŚCI"

Chmielna 26,

NASTĘPUJĄCE DZIEŁA:

	Rs. kop.
Ariel St. Ułudy powieść współczesna.	1 20
— Irma	1 —
Dygasiński Adolf. Złamane Życie, powieść.	— 80
Fehling Dr. Przeznaczenie kobiety.	— 35
Flaum M. Dr. med. Wykłady o hygienie żywienia.	— 60
Gamaston. Wiara... Nadzieja... Miłość... nowelle z illustracyami.	1 50
Gliński Kazimierz. Kwiaty bez woni, powieść.	1 —
Junosza Klemens. Z pola i bruku.	— 80
— Wnuczek i inne nowelle i obrazki.	— 80
— Ojciec Prokop, kartka ze wspomnień.	— 20
Kosiakiewicz Wincenty. Rozpieszczona dziewczyna, powieść.	1 20
Konar Alfred. Pierwsza miłość.	1 —
Laskowski Kazimierz. Zużyty, kartka z życia.	1 —
Miecznik St. Owanes Ohana	1 20
Ołtuszewski Dr. Wł. Hygiena mowy.	— 30
Wilczyński Albert. Kłopoty starego komendanta 3 t.	1 80
— Fotografie społeczne 3 t.	1 80
— Dziecię niedoli i dziecię próżności 2 t.	1 20
— Woły robocze 1 t.	— 20
Wilczyński Albert. Z pamiętników Plotkarza 2 t.	1 60
— Siostra mojej żony 1 t.	— 60
— Dla dobra dzieci 1 t.	— 60
— Za groszem 1 t.	— 60
— Sielanki szlacheckie 1 t.	— 60
— Misya familijna 1 t.	— 60
— Na manowcach 1 t.	— 60
— Galerya dyletantów 2 t.	1 20
Zawadzki Józef Dr. O trawieniu, wykład popularny.	— 45
— Ważniejsze zdrojowiska.	— 35

Przedmioty Gospodarstwa Domowego
Jerozolimska 72

MAGAZYN „METROPOL"

Sprzedaż za gotówkę i NA RATY od 30 kop. tygodniowo
Jerozolimska 72 766—50—15

Otrzymałem ostatni żórnal z Paryża na wyrób grzywek i pukli.

Zakład Fryzyerski
Stefana
Nowo.Senatorska Nr. 1, Hotel Rzymski.

Specyalny zakład Fryzyerski czesania dam podług ostatniego żórnalu, przyjmuje zamówienia w zakładzie, na mieście i miesięczne.
Nowo-Senatorska Nr. 1. Hotel Rzymski.
Stefan.

Otrzymałem Esencye perfum z Gras, jedna kropla więcej znaczy jak innych cały flakon.
830-4-2 **Łut 50 kop.**
Nowo-Senatorska Nr. 1, Hotel Rzymski.
Stefan.

Gabinet-dentystyczny.
ze specyalną pracownią do wstawiania
ZĘBÓW SZTUCZNYCH
od **1** do **10** rub. za sztukę
818-52-3 **pzyjęcie od 9 do 6:**
Chmielna N-r 16. m. 4.

Była współpracowniczka pierwszorzędnych magazynów
Kazimiera Falkowska
otworzyła 825—12—2
MAGAZYN SUKIEN
i Okryć Damskich
ul. Królewska 29a,
przyjmuje wszelkie obstalunki, wykończenie akuratne. Ceny umiarkowane.

Eau Végétale. Woda roślinna.
Najlepsza i najpewniejsza do farbowania włosów na kolor Szatin, Brun i Noir.
Od wielu lat jak środek ten pojawił się w Warszawie i coraz zjednywa sobie liczniejszy zastęp klienteli, a wskutek zalet jakie posiada. Eau Végétale zaraz po jednorazowym użyciu zmienia osiwiałe włosy na kolor pierwotny, nie brudząc ciała ani bielizny, nie pozostawia po sobie rudawych odcieni, ale nadaje kolor naturalny i trwały. Eau Végétale jest jedyny środek najsolidniejszy i najradykalniejszy przeciw siwiźnie. Cena całego kompletu Rs. **2** kop. **50**, bez szczotek i pudełka rs. **2**; za wysyłkę pocztową kop. **50**.
Naumyślnie sprowadzony specyalista do farbowania włosów na miejscu.
w Zakładzie Fryzyerskim STEFANA
829—4—2 **Nowo-Senatorska Nr 1, Hotel Rzymski.**

FABRYKA SZCZOTEK i PĘDZLI
M. TENCERA
WARSZAWA, **Krakowskie-Przedmieście Nr. 39** (obok hotelu Saskiego).
Sprzedaż hurtowa i detaliczna po cenach umiarkowanych. 671—50 36

SZKOŁA KROJU i SZYCIA
MARYI MACIEJOWSKIEJ
ystem francuzki, nauka dokładna i sumienna. Na żądanie ***Patenty cechowe.*** Osoby przybyłe z prowincyi mogą znaleźć wygodne pomieszczenie.
NOWY-SWIAT 56, m. 5. 614—25-25

Składy Nici, Galanteryi i towarów Norymbergskich
ALOIZY LUDWIG
W WARSZAWIE. 790-12-6
Skład Główny ulica Senatorska Nr. 6. Filia Marszałkowska Nr. 119.

Magazyn Sukien Damskich
J. Kochańskiej
Hoża Nr 8. 811-6-6
wszelkie obstalunki wykonywa podług najnowszych żurnali.
Ceny umiarkowane.



W.W. Paniom poleca się
nagrodzony na wystawie pracy kobiet
PATENTOWANY SZYNDLERA
BIUSTHALTER
Senatorska N. 26. 776B—20 8



WYPOŻYCZALNIA (CZYTELNIA)
KSIĄŻEK
polskich i francuskich
przy Księgarni Sortymentowej i Składzie Nut **MAURYCEGO ORGELBRANDA, M. Machwitz** w Warszawie, naprzeciw posągu Kopernika.
Wysyła się i na prowincyę. 748—25-17



FABRYKA
PIANIN
839—13—1
Ludwik Hildt (Syn)
Nowogrodzka № 11.

Fabryka Kwiatów sztucznych
Wróblewskiej
Marszałkowska 140, m. 5,
poleca piękne wyroby, tak balowe, jako też i kapeluszowe, po cenach bardzo przystępnych. 808—13—6

NOWY ZARZĄD
CZYTELNI DLA KOBIET
Warecka 9.
Stale zaopatruje z nowości wszystkie działy. Bogaty dobór dzieł poważnych oraz klasycznych w 5 językach. Dla abonentek bez dopłaty 18 czasopism w 4 językach. Abonament miesięcznie **40** kop. 817—32—4.
Wysyłka na prowincyę.

Ważne dla pp. Krawcowych!
Kroazy we wszystkich kolorach,
Niciański, Towary Norymberskie i wszelkie dodatki do sukien po cenach najniższych 758-25-9
poleca Magazyn
M. SADOWSKIEGO
7. PODWALE 7.

Nowi prenumeratorzy
„KURYERA CODZIENNEGO"
od 1-go Kwietnia otrzymają za dopłatą 10 kop. początek drukującej się powieści Emmy Jeleńskiej ***„Panienka"*** i początkowe arkusze romansu Gyp'a ***„Baron Sinai"***; po opłaceniu kwartalnej prenumeraty otrzymają jako premium 1-szy tom ***Poezyj Mickiewicza***, a po opłaceniu całorocznej prenumeraty cztery tomy ***Poezyj Mickiewicza*** bezpłatnie.
Cena miesięcznie kop. **50**, z przesyłką pocztową kop. **75**. Krakowskie-Przedmieście № 17. 807—8—7

ZOFIA PIETKIEWICZ
b. uczenica Hersego przeniosła
Pracownię Sukien Damskich
835—6—1 z BIELAŃSKIEJ 7
na Plac Teatralny № 9,
dom Stempkowskiego, drugie piętro, front.

Pracownia Gorsetów Estetyczno-Hygienicznych
oraz Szelek do prostego trzymania
„EUGENII"
Obstalunki wykonywa w 12 godz. Przyjmuje do prania i reperacyi. **Ceny przystępne.**
837-12-1 **Warszawa, Nowy-Świat 16.**

Dla Pań malujących
Farby, Przybory Artystyczno-Malarskie, Wzory, Szkice, Rzeźby i t. p. poleca Skład
T. CZARNOCKIEGO
101, Marszałkowska 101,
w WARSZAWIE. 812-50-6

REKOMENDACYA SŁUŻBY.
Obecnie otworzyłem Kantor Kaucyonowany Rekomendacyjny Służby, pod swoją firmą **Plac Zamkowy Nr 91, róg Podwala**
bez wpisowego
a to dla udogodnienia Sz. Państwu. Będę się starał zasłużyć na względy jak w latach poprzednich. Z Szacunkiem
820—12—4 **S. Karasiewicz.**

Nowootworzony Magazyn
Braci JACOBSOHN, *Długa 53.* poleca
803—13—8
KWIATY
sztuczne podług najświeższych francuskich modeli, pióra fantazyjne i strusie oraz ***wstążki jedwabne.***

ZAKŁAD GALWANICZNY L. Kardaszyńskiego
ulica Czysta Nr. 8 w Warszawie.
Przyjmuje do reperacyi i odnawiania wszelkie wyroby **z różnych metali** po możliwie **nizkich cenach.** Stołowa robota z 2-letnią piśmienną gwarancyą. 760—25—9

Egzystująca od roku 1824
FABRYKA WYROBÓW PLATEROWANYCH
1 Srebrnych 84 próby
Józefa Fraget,
w Warszawie, ulica Elektoralna Nr. 16.
WŁASNE MAGAZYNY ZNAJDUJĄ SIĘ:
W WARSZAWIE: Senatorska 17, Krakowskie-Przedmieście 69, Nalewki 16. 738-26-15
ŁÓDŹ: Piotrkowska 16.

KWIATY
SZTUCZNE poleca
• M. CIECHANOW •
Elektoralna 31. 822—15—2

Zakład naukowy Żeński 6-cio klasowy z oddziałem przygotowawczym
STANISŁAWY ŁAPIŃSKIEJ
w Warszawie, Krakowskie-Przedmieście № 2
(wprost Kopernika),
przyjmuje uczennice na przychodnie, półpensyonarki i pensyonarki stałe. Wymagania hygieny i pedagogiki ściśle przestrzegane, mieszkanie 8 łokci wysokie na I-em piętrze, system klas korytarzowy. Tablice graficzne, przedstawiające fizyczny rozwój dzieci w Zakładzie będących, odznaczone zostały pochwałą, a prace uczennic, oraz pomoce naukowe Zakładu, nagrodzone **medalem** przez Komitet zeszłorocznej Wystawy hygienicznej w Warszawie.—Po za obowiązującym programem nauk szkolnych, kładzie się nacisk na krój, roboty ręczne, konwersacyę w obcych językach, oraz dobre wychowanie w najwyższem znaczeniu tego słowa.—Warunki przystępne. Gimnastyka, śpiew, tańce bez oddzielnej opłaty od pensyonarek.—Zapis i egzamin nowo-wstępujących uczennic odbywa się codziennie.